



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI

KONKURS NA WYPRACOWANIE.

Dla czytelników i czytelniczek naszych do lat 15-u włącznie ogłaszamy konkurs na wypracowanie. Za temat wybraliśmy tym razem:

Oszczędność i skąpstwo.

W wypracowaniu zatem należy określić oba te pojęcia, wykazać, jaka jest między nimi różnica i objaśnić, dla czego pierwsze uważane jest za zaletę i obowiązek każdego, a drugie za wadę.

Za najlepsze wypracowania przyznane będą nagrody w książkach, przy udzielaniu których Redakcyja będzie brała w rachubę nie tylko treść, lecz także jasność wykładu i czystość języka, oraz będzie miała na względzie wiek piszących. Prosimy, aby wypracowania pisane były samodzielnie, bez współudziału i poprawek starszych.

Przy wypracowaniach podawać należy koniecznie: *imię, nazwisko, adres i wiek* piszącego.

Ostateczny termin nadsyłania tych prac oznacza się na 1-go czerwca r. b.

W OTCHŁANIACH MORSKICH

PRZEZ

Dr. M. Stefanowską.

(Dalszy ciąg).

Do poprzedniego gatunku podobnym jest gąbczak *Rossella* fig. 126 mająca igielki w postaci kopy. Godną jest również uwagi *Askonema* w kształcie ogromnego kapelusza filcowego (fig. 127). Razem ze wspomnianymi gąbkami szklistem, żyje także wspaniała gąbka zwana *Korzonkowcem*, o którym już była mowa poprzednio, oraz wiele innych gąbczaków krzemionkowych.



Skrzydlaty uczeń.

W głębinach żyją rozmaite polipy, chociaż przyznać trzeba, że nie są one tam tak obfite, jak przy wybrzeżach. Delikatne gromady stulbii, tak liczne na pobrzeżnych skałach, szybko znikają w miarę wzrastania głębokości. Między 500 a 1000 metrami Talisman znalazł ich niewiele. Atoli niektóre gatunki stulbii zaaklimatyzowały się w wielkich głębinach i doszły do potwornych rozmiarów. Np. Challenger wydobyl z głębokości 5,300 metrów polipa (*Monocaulus*), którego łodyga miała dwa i pół metra długości, a na jej końcu, jak olbrzymia chryzantema, rozciągał się wieńiec macków, mający 20 centymetrów średnicy.

Godnem jest uwagi, iż w głębinach morskich polipy tracą zdolność do życia towarzyskiego. Wiemy już, że polipy pobrzeżne żyją najczęściej gromadami, zawierającymi setki i tysiące jednostek, zrosniętych z sobą. W głębinach natomiast przeważają polipy żyjące pojedynczo i swobodnie, t. j. nie osiedlają się na jednym miejscu, jak polipy pobrzeżne; zresztą nie mają do czego się przyczepić na mulistem dnie. Najpospolitszym gatunkiem pływających polipów gromadnych jest *Lophohelia prolifera* (fig. 128), rozpowszechniona w oceanie Atlantyckim, aż do tysiąca metrów głębokości.

W tymże oceanie pływają prześliczne fioletowe bukiety, osadzone na długiej łodydze; są to polipy *Ombellularia* (fig. 129), znajdujące na głębokości 2,500 metrów. Różne gatunki należące do rodziny gąsiołów, czyli korale wachlarzowate są również obfite w głębinach i rozlewają dokoła swe światło (podaliśmy wizerunki owych koralu na fig. 31).

Natomiast *tołpie*, zawsze gromadne u wybrzeży, żyją w głębinach pojedynczo i dochodzą niekiedy do ogromnych rozmiarów: miewają bowiem w średnicy wielkość talara. Niektóre z nich są w kształcie pucharu, jak *Thecopsammia* na fig. 130, inne w kształcie bączka, wachlarza, rogu obfitości, jak np. *Caryophyllia* na fig. 131. Dodać jeszcze należy, że tołpie w głębinach utraciły zdolność budowania raf, co jest właściwą ich cechą u wybrzeży. W ogóle korale nie wznoszą swych budowli poniżej 40 metrów głębokości i to jedynie w morzach ciepłych. Zimne i ciemne głębiny morskie nie sprzyjają ich architekturze. Talisman znajdował w Atlantyku tołpie żyjące pojedynczo i swobodnie aż do głębokości 2,500 metrów.

Nakoniec wydaje się prawdopodobnym, iż na dnie głębokich mórz żyją pewne gatunki medwy, mogące za pomocą swoich macków pełzać po dnie. Challenger wydobyl osiemnaście gatunków medwy głębinowej.

(d. c. n.)

Skrzydlaty uczeń.

Niektóre ptaki z gatunku śpiewających posiadają tak muzykalny słuch, że można je wyuczyć różnych łatwych melodyjek.

Wie o tem doskonale młody Tyrolczyk, przedstawiony na rycinie, więc z wytrwałością wielką trzymając na ręku gila, pogwizduje jedną z najulubieńszych piosenek ludowych. Ptaszek wsłuchuje się uważnie, aż wreszcie zacznie gwizdać to samo ku wielkiej radości chłopca, który niezawodnie znajdzie wkrótce chętnego nabywcę na tak wyuczonego ptaszka.

Wprawdzie mimo pojętności ucznia, nauczyciel uzbroić się musi w nadzwyczajną cierpliwość i nie zrażać się pierwszym niepowodzeniem, ale za to jakże mu miło będzie sprzedawszy ptaszka, oddać matce zarobione pieniądze na chleb, brak którego w biednej górskiej chacie, zbyt często niestety uczuwać się daje.

Zofia Kowerska

DZIELNY CHŁOPIEC.

(Dalszy ciąg.)

— A co, kto silniejszy? Teraz cię tu zwiążę, a sam przeszukam w sienniku i wszędzie! Zabiorę pieniądze i za to żeś głupi, to nic z nich nie dostaniesz, a jak słowo piśniesz przed panią Warbicką, to cię znowu zbije! Słyszysz?

Józik wciąż się bronił i nakoniec tak się zrobiło, że obadwaj chłopcy leżeli na ziemi drąc się za włosy i walcząc jak który mógł. Józikowi krew z nosa płynęła a Walek tak się zaciekł w złości, że zapominał chwilami o wszystkim innym, oprócz o swej zemście na Józiku.

Pokój był pełen krzyku sieroty, chrapliwego głosu Walka, a na podłodze walały się różne połamane sprzęty. Stary, już trochę podarty dywanik, z przed łóżka pani Warbickiej, leżał w strzępach, gdyż wśród walki podarty go okute buty Walka. Oprócz tego, Józik broniąc się, ściągnął ze stołu serwetę wraz z kałamarnicą, z którego atrament wylany obryzgał podłogę i nawet na twarzach leżących na podłodze chłopców, różnemi smugami się rysował. Mieszkanie pani Warbickiej, zwykle bardzo czyste i porządnie utrzymane, teraz przedstawiało widok największego nieładu.

Z każdą chwilą zwycięstwo przechylało się na stronę Walka. Józik bity, szarpany, a broniący się rozpaczliwie, coraz mniej miał sił. Zbladł, jakby wszystka krew z niego uszła, powieki mu się zamknęły, zemdlął.

Walek skoczył na równe nogi i rzucił się wprost do rozwidowania siennika pani Warbickiej. W zaciekleści swej przetrząsając siano szeleszczące, nie usłyszał, że drzwi się otworzyły i starszka stanęła w progu. Oniemiała i skamieniała z podziwu i strachu. Nie mogła kroku postąpić. Oczy jej szeroko otwarte wyrażały osłupienie, zbladła i zachwiała się. Przytomność odbiegła ją zupełnie.

Ale Bosa nie stracił przytomności ani na chwilę i weale się nie namyślał nad tem, co mu czynić wypadało. Jednym spojrzeniem objął położenie i choć przez mgnienie oka miał ochotę biedz na ratunek Józika, jednak chwycił się innego środka. Nagłym susem rzucił się na Walka. Miał go już w podejrzeniu od czasu kradzieży napaństwa i teraz zrozumiał, że trzeba było działać prędko i odważnie. Chwycił Walka za nogę w której utopił ostre, białe zęby, Walek krzyknął, ale z początku myślał, że to Józik wróciwszy do sił znowu rozpoczynał walkę, gdy jednak spostrzegł czarne kudły Bosego i spotkał się ze spojrzeniem przerażonych oczu pani Warbickiej, odwaga odstąpiła go nagle. Noga, w której tkwiły zęby Bosego, bolała go nie na żarty, Józik zaś z zemdlenia oczoucy znowu przed nim stanął wołając:

— Idź precz! Nie dotykaj tu niczego! Bosa trzymaj! Ja idę po policyanta!

Wtedy Walek uderzył w prośby:

— Wołaj psa, bo mi całkiem nogę poszarpie! Już niczego nie ruszę! Niech się pani nademną zmiłuje! Zle zrobiłem, ale już się poprawię, już będę uczciwym chłopcem!

Pani Warbicka zdołała nareszcie przemówić:

— Ten chłopiec oszalał! — zawołała. — Co ty tu robisz? Czemu rozrucasz moje łóżko?

— Przyszedłem — mówił Walek żałośnie — aż tu Józikowi niedobrze się zrobiło! Upadł zemdlony na ziemię i krew nosem mu buchnęła! Tak ja się bardzo przestraszyłem i zacząłem ślać łóżko, żeby Józika przenieść i położyć!

Józik tak był oburzony kłamstwem Walka, że aż oniemiał. Pani Warbicka zaś mówiła:

— Józik zemdlął? Ah, biedne dziecko! Nic się nie dziwię, że ty pocciwy chłopce straciłeś przytomność i zamiast słać łóżko, rozrzuciłeś je. I za twoją pocciwość jeszcze cię pies ukąsił! Chodź, zaraz ci nogę opatrzę! Zimnej wody! Zimnej wody coprędej!

Walek jednak nie czekał na opatrunek. Obszarpany, z twarzą powalaną atramentem, kulejąc, wybiegł z pokoju, dostał się na schody i drapnął czempredzej do domu, gdzie Piotrowa przeraziła się jego widokiem. Rana zadana zębami Bوسة, bolała go nie na żarty, dostał gorączki i dziesięć dni przeleżał w łóżku.

Józik opowiedział pani Warbickiej całą przygodę.

— Bronilem co sił miałem, proszę pani — mówił — ale mię jakoś zamroczyło i już nie wiem co dalej było. Obudziłem się dopiero jak już Bosy trzymał Waleka za nogę.

— Dopelnileś swego obowiązku, Józiku — odpowiedziała pani Warbicka, która chłopcu ręczniki umaczane w zimnej wodzie na głowie zmieniała. — Bronileś ile mogłeś! Dobry z siebie chłopiec! Ale tamten ladaco, to zobaczysz, że źle skończy! A cóż to za łotr! Cóż to za nieszczęśliwi rodzice co takie dziecko mają! Ach, lepiej dzieci nie mieć, niż mieć takiego syna! To już największa kara Boża! Pamiętaj Józiku, żebyś go więcej nie przyjmował! I nie mów z nim jak go spotkasz. Jakbyś go nie znał! Do takiego człowieka to i odzywać się nie trzeba! I złodziej i kłancał! Jak to on wykręcił odrazu, żeś ty zemdlął, i że on ci ściele łóżko! I ja temu uwierzyłam! A ten nicdobrego pieniędzy szukał! Oj, chciałabym mieć pieniądze w sienniku, bo już resztkami gonię. Naigorsze drzewo w zimie! Drogie, że aż strach, a tu w tym pokoju ani się dopalić!

— Żebym ja mógł jaki zarobek sobie wynaleść! — rzekł Józik.

— Poczekaj, jeszcze jesteś dzieckiem i nie masz siły. Za jaki rok, to może już będziesz mógł pójść do terminu. Tymczasem się wprawiaj w czytaniu, pisaniu i rachunkach. Nauczę cię też trochę geografii.

— A co to geografia?

— Oj ty ciekawski, wszystkobyś chciał odrazu wiedzieć i wszystkiego odrazu chciałbyś się nauczyć. Poczekaj! Nie od razu Kraków zbudowany! Co dobrego to trzeba po troszeczku!

Józik na wszystko dobrze uważał i wiedział, że pani Warbickiej coraz ciężej było z groszem. Czasem wyciągała z biurka małą szufladkę, z tej szufladki wyjmowała płócienny woreczek, z woreczka starą zieloną sakiewkę z dwoma stalowymi pierścionkami. Po kolei przeciągała pierścionki i wysypywała na stół srebrne i miedziane pieniądze. Składała je, liczyła i zapisywała. Potem z tej samej szufladki wyjmowała stary pugilares, związany starą, jakby zatłuszczoną tasiemką. W pugilarzesie leżało kilka, dobrze i gładko rozłożonych papierków, które staruszka przeglądała także. Po takim przeliczeniu pieniędzy, pani Warbicka zamyslała się sinutnie, czoło jej pokrywały jeszcze większe zmarszczki, niż zwykle, policzki jej stawały się coraz bledsze.

Pewnego razu po takim przeliczeniu swoich pieniędzy, staruszka ozwała się jakby do siebie:

— Myślałam, że mi tego do śmierci wystarczy, tymczasem Pan Bóg mię tak długo na tym świecie trzyma.

Józikowi okrutnie przykro się zrobiło. Że sypiał na sofce u pani Warbickiej, to jej tem wydatków nie przysparzał, ale przecie nie mało kosztowało to, co jadł. Staruszka powtarzała mu często:

— Jedz, moje dziecko, jedz, bo ci potrzeba rosnać, potrzeba ci sił nabierać..

Józik jadł, bo miał apetyt dobry, ale gdy się przekonał, że u pani Warbickiej widocznie krucho było z groszem, zaczął mniej jeść. Czasem był taki głodny, że, jak mu się zdawało, wołu by połknął, a mówił cieniutkim głosem:

— Dziękuję pani, już więcej jeść nie będę.

Rano jadł tylko połowę tego chleba co z początku, a wieczorem, gdy się kładł spać, bywał tak głodny, że mu się żołądek kurczył. Przemyślał ciągle o jakim zarobku. Poznajomil się ze stróżem tego domu w którym mieszkał, a także z jednym czeladnikiem od siodlarza i do nich na naradę chodził. Coby tu robić takiego, żeby choć kilka groszy dziennie zarobić. Choć na chleb!

— A cóż taki pędrak może robić? — mówił stróż — toć ty jeszcze za trzy grosze siły nie masz! Teraz i dorosłemu człowiekowi o zarobek trudno! Dawniej to takie chłopaki wołały: „piasku białego, wiślanego” a teraz to i piasku ludziom nie potrzeba. Wody też nie potrzeba! Każdy sobie kurek w kuchni otworzy i ma wody ile chce. Bieda na świecie!

— Ej, kto chce pracować, to se zawsze kawałek chleba znajdzie i nawet duży, nawet dobry kawałek chleba — ozwał się na to czeladnik od siodlarza — jeno nie trza hulać, nie trza pieniędzy na byle co tracić... Ja też małem dzieckiem zostałem sierotą bez ojca i matki a przecie nie zginałem, bo od roboty nie uciekałem.

— A cóż pan robił, jak pan był w moim wieku? — zapytał ciekawie Józik.

— Byłem chłopcem w cukierni. Roznosiłem kawę i herbatę. Czasem za uszy oberwałem, to prawda, ale mi już sobie uczciwie zarabiał.

Józikowi aż się twarz rozjaśniła. Myślał teraz tylko o tem, żeby się dostać do jakiej cukierni. Widział nieraz przechodząc takich chłopców, z białymi fartuszkami, uwijających się z tackami, na których stały dwa imbryczki, mała miseczka z cukrem i szklanka wody. Ach, żeby się to dostać do cukierni!

— A powiadam ci, ciastek byś się najadł! — powiedział mu czeladnik od siodlarza.

— A wolno tam jeść ciastka?

— Wolno, ale ci one prędko obrzydną. Ja od tego czasu com usługiwał w cukierni, to na żadne ciastko patrzeć nie mogę i już tak pewno będzie całe życie. Dziwno mi, że ludzie te obrzydliwości jedzą! Chleb razowy wiejski, to mi specał!

Józik sobie myślał:

— Mnie się tam ciastka nie sprzykrzą, a przynajmniej głodny nie będę. Juźci przecie ciastka smaczniejsze od chleba razowego!

Jak go głód dobrze ścisnął, to mu te ciastka aż pachniały, a w nocy mu się śniły.

Nic nie mówił pani Warbickiej, bo jej chciał zrobić niespodziankę, ale zaczął chodzić od cukierni do cukierni. Wszedłszy, zbliżał się nieśmiało do właściciela i mówił:

— Proszę pana, czy nie potrzeba tu chłopca do cukierni?

Serce mu biło w piersi jak młotem gdy to zapytanie czynił. Patrzył miłosiernie w oczy cukiernika, czekając na odpowiedź.

(d. c. n.)

URNA I ŁZAWNICA

KOMEDYJKA W 1-ym AKCIE.

(Dokończenie).

MICHAŁEK (*uśmiecha się głupkowato*).

KAROL. Przeniłem swoje siły, czuję, że noc całą nie spał. Pójdę trochę odpoocząc, a potem będę kopał dalej. Ach! gdyby tak znaleźć urnę i łzawnicę, a widziałem tam skorpury. To istna Golkonda!

MICHAŁEK. O, to prawdę panicz powiedział, bo tam Kunda, nasza kucharka stare garnki wyrzuca.

WAŃDZIA (*na stronie*). Poczekaj Karolku, już my pomyślimy o tem, żebyś znalazł urnę i łzawnicę.

HELENKA. Idź, połóż się Karolu, śpij choćby do wieczora, prędzej doczekasz się rodziców.

KAROL. Dziękuję ci, Helenko, ale wstać muszę, bo pan Skulski wyjeżdża za dwa dni na wycieczkę naukową, i chciałbym mu wprzód jeszcze posłać swoje wykopaliska. (*wychodzi i wynosi ostrożnie kość*).

HELENKA. Tylko nie zbyt złośliwy, Wandeczko

WAŃDZIA. Za łagodną jesteś, Helenko, ale nie bój się.

HELENKA. No, no ty figlarko! nie chcę już wiedzieć, co zamierzasz; wolę pójść dopilnować, żeby wszystko było w porządku na przyjazd rodziców.

SCENA VII.

WAŃDZIA (*sama*). Jaka ta Helenka jest dobra, w Zakopanem opiekowała się mną tak troskliwie, jak mamusia, a ja po chorobie byłam nieznośna, wiem o tem. Teraz bierze w opiekę Karola. Ona daleko lepsza odemnie (*zamyśla się*). Z czasem i ja się poprawię, lecz dzisiaj muszę mu splatać figla, (*do publiczności*), Darujcie, ale taka już moja natura (*uchyla drzwi i woła*): Michałek! Michałek!

SCENA VIII.

WAŃDZIA I MICHAŁEK.

WAŃDZIA. Idź prędko do szafarki i przynieś mi od niej dwie dzieżki, które kupiła na targu wesoraj, dużą i małą, rozumiesz?

MICHAŁEK. Cóż nie mam rozumieć, jak panienka gada, to odrazu zmiarkuję, ale panica to dokumentnie nie rozumiem.

WAŃDZIA. Oto właśnie chcę go nauczyć, aby mówił zrozumiale; biegnij i przynos dzieżki.

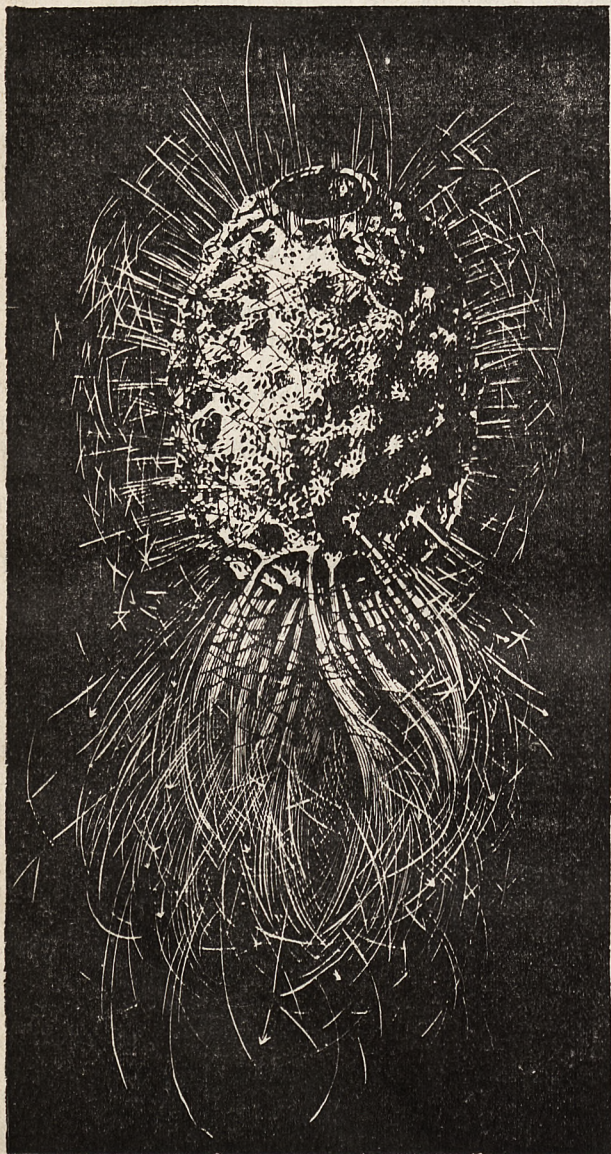


Fig. 126. Rosella velata. (Gąbka szklista, wiel. natur.)



Fig. 127. Askonema (Gąbka szklista 1/8 wiel. natur.)

SCENA VI.

HELENKA. Michałku, czemu nie sprzątasz po śniadaniu i nie idziesz do roboty. (*Michał zabiera tacę, filiżanki i wychodzi*).

WAŃDZIA. Ja właśnie miałam posłać go w jednej sprawie.

HELENKA. Widziałam, że dawałaś mu znaki, i chcę cię prosić, abyś tak lekceważąco nie traktowała Karola.

WAŃDZIA. Eh! ty zawsze jesteś za dobra.

HELENKA. A ty zbyt żywo sądzisz.

WAŃDZIA. Zatem dla twej miłości obiecuję być cierpliwą i wyrozumiałą, ale splatam Karolowi figla, to ostudzi jego zapal i pewność siebie. O! pyszny będzie figiel!

MICHAŁEK. Idę panienko i duchem psyniosę, bo stoją jesce na stole u safarki.

SCENA IX.

WAŃDZIA (*sama*). Chciał mieć urnę i łzawnicę, będzie je miał, tylko co w nie włożyć? (*ogłada się i churyta czaprak, przy którym wisi kawałek płótna do owinięcia roboty*), włożę to płótno, Karol uwierzy, że w niem były popioły jakiego przedpotopowca (*rzuca czaprak i płótno na krzesło*).

MICHAŁEK (*wchodzi, niosąc w obu rękach okrągłe dzieżki gliniane, idzie ostrożnie bo w zębach trzyma śledzia za ogon. Stawia dzieżki na stole i pokazuje Wańdzi śledzia, śmiejąc się przytem głupkowato*). Widzi panienka, co ja tu wskórałem

od szafarki na suche dni, bo my dziś jemy z olejem, proszę panią.

WAŃDZIA. Co za myśl! (*nagle do Michałka*), wiesz co, daruj mi tego śledzia, ja ci za to oddam mój podwieczorek, już wiem co zrobię, wyborna myśl.

MICHAŁEK. Ja panią bez wszystkiego oddam śledzia, panią taka dobra, ucy mnie cytać i dała mi..

WAŃDZIA. No, no, dość już tego, trzeba się nam spieszyć, (*chwytając dzieżki, do większej chce włożyć płótno, ale przez omyłkę kładzie płótno i czaprak, do mniejszej wrzuca śledzia*). Dopieroż zdziwi się Karol gdy to zobaczy. Będzie nam tłumaczył, że to ryba przedpotopowa; lecz przekona się sam, jaki jest dziecinny i jak mu jeszcze daleko do uczoneści (*do Michałka*). Gdzie kopaliście z paniczem?

MICHAŁEK. Zara za ogrodem, panie mi się pytał, czy tu kaj nie znajdują się kości, niby gnaty, panią wie, tak ja mu zekł, że tam za ogrodem psy wywłocą kości, to jak panie o kościach posłyszał, tak zara skoczył do dołu i kopać zaczął.

WAŃDZIA (*wzruszona i zalekniona*). To może tam naprawdę kiedyś ludzi chowapo?

MICHAŁEK (*śmiejąc się*). Hi, hi, hi, a któżby ta ludzi



Fig. 128. Lophohelia prolifera (Gromada polipów).

WAŃDZIA. Słucham, co Karol robi, bo chciałabym, żeby jaknajprędzej poszedł do swoich poszukiwań archeologicznych i paleontologicznych.

HELENKA. Niepoprawna jesteś! ponoż mi lepiej podszycwać czaprak tym płótnem.

WAŃDZIA. Chętnie, ale słyszę Karola.



Fig. 130. Thecopsammia socialis (2 1/2 razy powiększona).



Fig. 129. Polipy Orubellularis, z mórz północ.



Fig. 131. Caryophyllia borealis (2 razy powiększona).

chował, łośńskiego roku wywłół tu pastuch krowę i wrzucił do dołu.

WAŃDZIA. Czemu nie powiedziałeś tego paniczowi?

MICHAŁEK (*wzruszając ramionami*). Gadałem, ale nie chciałem słuchać.

WAŃDZIA (*do siebie*). Śledź go wyleczy z tego śmiesznego zaciętrzewienia (*do Michałka*), bierz te dzieżki i zakop w dole, gdzie znaleźliście kości.

MICHAŁEK. Oj to dobrze, bo panicz ciągle się o skorupę dopominał.

WAŃDZIA (*do siebie, chodząc po pokoju*). Będzie miał skorupę! (*staje i słucha przy drzwiach Karola*). Ależ prędko się wyspał.

HELENKA (*wchodząc*). Co ty robisz?

SCENA XI.

Karol przechodzi przez scenę, trzymając kość zawiniętą w papier; ma minę rozspaną i ziewa.

HELENKA. Czemu już wstałeś? po nocy nieprzespanej trzeba było wypocząć dłużej.

KAROL (*ziewając*). Nie jestem wstanie spać, budzi mnie nadzieja zrobienia jakichś odkryć. Zresztą chcę koniecznie, aby ta kość dostała się dziś jeszcze do pana Skulskiego, sam odwiozę ją na stacyę, i zarazem powitam prędkiej rodziców.

HELENKA. Bardzo dobrze, ale i tak mogłeś wypocząć jeszcze z godzinę.

KAROL (*z powagą*). Poświęcę ją dalszym poszukiwaniom.

WAŃDZIA (*która wciąż złośliwie patrzy na Karola*). Posłałam już Michałka, aby kopał głębiej, gdyż są tam podobno jakieś garnki.

KAROL. Niebaczna! On gotów je potłuc, a to mogą być urny i łzawnice! (*wybiega z pośpiechem*).

SCENA XII.

HELENKA I WAŃDZIA.

HELENKA. Wańdziu! czy się to godzi?

WAŃDZIA. Dla czego ma się nie godzić, siostrzyczko?

HELENKA. Ośmieszasz brata, który ma szlachetne zamiłowania i cele.

WAŃDZIA. Ależ on taki śmieszny i napuszony, jak paw. Zdaje mu się, że jest przynajmniej równie mądry, jak pan Skulski, i wszystko umie. Więc się nie gniewaj, bo i ja mam cel szlachetny. Zresztą przyrzekam ci, że to będzie ostatnia moja psota, a za pokutę pomogę ci podszywać czaprak.

HELENKA (*rozglądając się po pokoju*). Właśnie go szukam, lecz ani czapraka, ani płótna, w które był zawinięty, nie widzę.

WAŃDZIA (*śmieje się na stronie*). Płótno wiem, gdzie schowane, ale ci nie powiem,

HELENKA. Ale czaprak, doprawdy, nie pojmuję, gdzie się mógł zarzucić.

WAŃDZIA. Przecież nikogo w pokoju nie było.

HELENKA. Nikogo nie było tylko Michałek (*zamyśla się*), czyżby on? tak niedawno służy, nie znamy go prawie.

WAŃDZIA. O, ja ręczę, że on się tego nie dopuścił.

HELENKA. Ja także lubię tego chłopaka, ale pamiętasz jak chwalił czaprak, i mówił, że w mieście toby za taki trzy ruble dali.

WAŃDZIA. Nie, to być nie może!

HELENKA (*szukając wciąż*). Jednak czapraka nigdzie niema.

SCENA XIII.

(*Wchodzi Karol, za nim Michałek, obaj idą krok za krokiem i niosą dzieżki, Karol uradowany. Michałek mruga porozumiewająco do Wańdzy*).

KAROL. Ostrożnie postaw na stole, (*stawiają, poczem Karol oddala się o dwa kroki i mówi z powagą*). O drogocenne naczynia, które zawieracie popioły wielkiego wojownika, cześć wam!

HELENKA (*z niezadowoleniem*). Ależ Karolu, toż to są dzieżki do mleka, z których widzę stłukliście już nawet większą.

KAROL. To ja sam nieostrożnie trąciłem rydlem. Wnętrze zasypała ziemia i przykryła prochy rycerza.

WAŃDZIA (*wybuchając śmiechem, Michałek także, tylko Helenka patrzy z żalem na rodzeństwo, Karol powoli odgarnia ziemię z dzieżki, aż wreszcie znajduje w niej płótno*).

KAROL. Cóż ja tu znajduję? kawał płótna? zapewne to prześcieradło, w które owinięto przed wiekami i włożyli rycerza (*wyciąga czaprak, wszyscy razem wykrzykują:*

Czaprak!)

HELENKA. Wańdziu, co to znaczy?

WAŃDZIA (*zawstydzona*). Widzę, że włożyłam go przez omyłkę, zamiast same płótno.

HELENKA. A ja przez ciebie posądziłam Michałka.

KAROL. Co znaczy ten czaprak w urnie? czy to żart ze mnie? a ja się tak cieszyłem, (*chwytając pośpiesznie drugą dzieżkę i wydobywa z niej śledzia*).

KAROL I HELENKA. Śledź!

WAŃDZIA. Tak braciszku, to śledź, a wszystko to jest moje dzieło, którym chciałam wyleczyć ciebie z lekceważenia wykształcenia i umysłu kobiecego. Lecz razem ukarałam siebie, bo widzę, że byłam niedobrą i złośliwą. Wybaczcie mi.

HELENKA. Zniszczyłaś czaprak, cały jest powalany ziemią.

MICHAŁEK. Niech się panienki nie turbują, ja go ślicznie wycyszę.

WAŃDZIA. Karolku, czy ty mi wybaczysz?

KAROL. Alboż mogę gniewać się na siostrzyczkę, zresztą należała mi się ta nauka; zbyt lekko sądziłem wasze wiadomości, a przytem dowiedziałem się od Michałka, że pracujecie bardzo pożytecznie, uczycie biedne dzieci, ubieracie je, krótko mówiąc, jesteście bardzo dobre.

WAŃDZIA (*zawstydzona ścisła brata*). To ty jesteś dobry Karolku (*ślicznie turkot za sceną*).

KAROL. Czas jechać po rodziców, jak się cieszę, że ich nareszcie zobaczę! (*wybiega razem z Wańdzią*).

HELENKA (*podnosząc kość rzuconą przez Karola*). Zapomniał dla rodziców o swych wykopaliskach, więc serdecznie ich kocha, a przytem kocha naukę! Daj Boże, aby został prawdziwym uczonym gdy naprawdę zmańdrzeje.

NIEDŹWIEDŹ

POWIEŚĆ Z XVI WIEKU

p. Zuzannę Morawską.

(Ciąg dalszy).

— Dla podtrzymania sił waszej królewskiej mości — szepnął starzec, zachęcając go do wypicia.

Zygmunt machinalnie wziął puhar i połknął nieco podanego sobie posiłku.

Wtedy biskup krakowski podał mu w lewą rękę jabłko złote, a prymas w prawą berło i ujawszy pod ręce, poprowadzili na tron, przygotowany w środku presbyteryum. Dwaj marszałkowie okryli go płaszczem purpurowym, gronostajami okładanym; młody król siadł z wielką powagą, a prymas w pięknej przemowie oddawał mu kraj cały i naród w opiekę. Mowę zaś tę w ten sposób zakończył:

— A jako miłosierdzie Boże czuwa tak samo nad moźnym, jako i najdrobniejszym tworem, a przedewszystkiem zaś w opiece swej ma wszystkie dziatki, ufamy więc temu miłosierdziu, iż młodociane twe serce najjaśniejszy panie, napelni powagą i wszelką ku spełnieniu obowiązków przynależnych monarsze, enotą. Miłuj więc naród, a naród miłować cię będzie, a tak we wspólnej miłości i prawdzie ku szczęściu go prowadź!

— Tak mi panie Boże dopomóż — rzekł z przejęciem Zygmunt.

Wtedy zabrzmiało przeciągłym, radosnym śpiewem „Te Deum laudamus” a prymas i biskupi powitali nowego króla trzykrotnym okrzykiem „Vivat rex Sigismundus Augustus.”

„Vivat rex!” — zabrzmiało w całym kościele, a głos ten podawany z ust do ust wybiegł za świątynię i przez cały lud zebrany na wzgórzu, u stóp jego i w przyległych ulicach, powtarzany przez wszystkie usta, brzmiał tysiącami okrzykami i niekłamana jakąś radością.

Tylko ten, na cześć którego okrzyk rozbrzmiewał, miał twarz smutną i znużoną, a żaden jaśniejszy uśmiech nie okolił jego dziecięcej twarzy.

To też gdy po całej uroczystości rozebrany z szat królewskich, znalazł się w rodzicielskiej komnacie, a ojciec zrzucający powagę i majestat monarszy, przygarbny jedynaka serdecznym uściskiem. Zygmunt zawołał:

— Ach, ojczy, ojczy, jak mi też straszno, jak smutno!

— Czego, synu mój ukochany!

— Boję się, boję tego królowania! i rozplakał się serdecznie łzami. Stary król pokiwał tylko głową, a ciężkimi westchnieniami wzniosła się jego pierś sędziwa i rzekł tuląc głowę syna:

— Ciężar to nie mały, dziecko moje, ale i zasługa wielka, a no tak trzeba było!

— Trzeba?... trzeba?... — powtarzał zamyślony młodzieńczyk, a potem rzekł nagle:

— Ależ ja rządzić nie umiem?

A ojciec mu na to, uśmiechając się smutno:

— To też ja, póki mi Bóg życia pozwoli, rządzić będę, a ty ucz się i gotuj do owych rządów, które kiedyś obejmiesz.

I nastąpiła chwila milczenia.

Ojciec trzymając na kolanach nowo-ukoronowanego, rozmyślał jakby go uchronić na przyszłość od trosk i kłopotów, a syn snać o zabawie z Niedźwiedziem i rówieśnikami, bo nagle zapytał:

— Tylko czy ja bawić się mogę tak jak dawniej?

— Baw się, baw mój synu, wszak i dzisiejszy dzień na zabawę przeznaczony.

— Ale ja takiej zabawy nie lubię, ja chciałbym się bawić z dziećmi...

— To też będziesz ich miał całe setki na zamku — odparł król, całując syna.

Obietnica ta rozweseliła młodego króla. Posiliwszy się więc i odpocząwszy po znużeniu porannem, z niecierpliwością oczekiwał, kiedy mu wolno będzie swobodnie się zabawie.

X.

Od chwili, gdy dzieci kasztelana zakroczyńskiego powróciły z zamku królewskiego, w całej rodzinie zapanował jakiś smutek i przygnębienie. Wiedziano bowiem, iż żądaniu królowej nie można odmawiać.

— Boże mój, Boże, ja mam oddać moje dziewczynki! — mówiła ze łzami w oczach pani Łucya.

— Postaramy się przedstawić królowej, iż nie życzymy sobie tego zaszczytu — pocieszał ją małżonek, chociaż sam niemniej był zafrasowany.

Jadwisia i Anusia we łzach tonęły; rozstanie się z rodzicami, przebywanie na dworze pod opieką krzykliwej sinioiry i okiem królowej, która tak jakoś dziwnie na nie patrzyła, napełniały je niewypowiedzianym smutkiem i przestraczem.

— Tak się cieszyłam, że Kraków zobaczę, a teraz, a teraz!... — mówiła Jadwisia, zalewając się łzami.

— Wolałabym i zanku i królewicza nigdy nie widzieć! wtórowała Anusia.

Po chwili zaś rzekła:

— To i cóż, że królowa kazała nam pozostać, rodzice nie pozwolą, zabiorą nas na wieś i skończone!

Jadwisia kiwnęła tylko główką, bo to rozumowanie siostry wcale jej nie uspokoiło.

Z tem wszystkiem w dzień koronacji musiały iść na zamek, miały bowiem należeć do korowodu urządnego na cześć młodego króla.

Jakoż jeszcze przed zachodem słońca zebrało się w wielkiej dębowej sali kilkaset dzieci, które mistrz ceremonii Wielicki i Włoch Gwadoni, w właściwy sposób ustawiali; dopomagał im w tej pracy imci Sulpicyusz, którego sława pięknie urządnego obrazu na imiennym kasztelana zakroczyńskiego prędko się rozeszła i aż na dwór się dostała.

Z tej sławy kapelmistrza oboje kasztelaństwo byli bardzo zadowoleni; raz, że sprzyjali mu bardzo, powtóre, iż Sulpicyusz będąc wśród urządzających korowód, łącznie mógł dać oko na ich działość, zwłaszcza na dziewczynki, o które teraz rodzice drżeli, aby kapryśna a wielowładna królowa, nie kazała ich gwałtem na swym dworze zatrzymać, lub krzywdy jakiej czynić.

Tymczasem, gdy już cały korowód był przygotowany, drzwi się otworzyły i wszedł młody król z nieodstępny sobie ochmistrem. Jednocześnie w loży urządnego na krużganku okalającym komnatę, zasiedli oboje ichmóść królestwo, ażeby zdala przypatrywać się zabawie dzieci.

Przy królowej z nieodstępną siniorą siedziały królowny, trzynastoletnia Izabella i ośmioletnia Zofia, spoglądając z zazdrością na cały ten tłum dzieci, z którymi byłyby chętnie podzieliły zabawę.

Młodziutki król ujrzawszy tyle dzieci, zapomniał o swojej godności i klasnąwszy w dłonie zawołał:

— Raz się przynajmniej zabawie, a widzę, są tam chłopcy z Zakroczywia, jest Jadwisia i Anusia.

I chciał biedz ku nim, lecz ochmistrz go powstrzymał, mówiąc:

— Później, później, teraz nie można psuć porządku.

Potem szeptał mu coś na ucho, przytrzymując lekko za ramię.

Zygmunt zaszepił się, a dziecięca jego twarzyczka miała wyraz smutku i nudy.

W miarę jednak, jak rozwijał się cały korowód dzieci, i różnobarwnym tłumem zabawiał oko, mały król znudzony swoją godnością, począł się ożywiać i uśmiechać.

Rzeczywiście, orszak ten godny był widzenia i nietylko oko i ucho młodzieńcyka, ale nawet dojrzałych osób mógł zabawie i ucieszyć.

Więc najprzód wysunęło się dziesięciu chłopców z jednej strony i tyleż dziewcząt z drugiej, a okrążając komnatę złożyli ukłon głęboki. Niosący zaś chorągiew ze znakiem swej ziemi, stanął po prawej ręce młodego króla, dziewczynki zaś z drugiej strony ofiarowały mu wyroby swej pracy. Więc pięknie szyte ręczniki, a także suszone owoce w misternie wyrabianych koszykach, które Kazik odbierał i składał na przygotowanym ku temu stole.

Tak przeciągały wszystkie ziemie, powiewając różnobarwnymi chorągiewkami z wyszytymi godłami. A więc ziemia poznańska, z orłem białym w czerwonym polu, jeno bez korony, bo koronę nosiła tylko ziemia krakowska, a ziemia wieluńska, godło: baranek biały na srebrnym polu, z czerwoną chorągiewką, ziemia kaliska z głową tura w koronie na szachownicy i wiele innych, które przesuwały się, powiewając jaskrawymi barwami. Do każdego z kłaniających Zygmunt się uśmiechnął i chociaż ze wszystkiemi były się rad zapoznać i po swojemu zabawie, musiał jednak odpowiadać według wszelkiej etykiety, której ochmistrz go wyuczył i wykonania pilnował.

Kiedy jednak nadeignęły dzieci z ziemi zakroczyńskiej i Jędrus trzymający chorągiew z godłem orła złotego, co na sercu miał Z wryto, skłonił się i chciał stanąć na swoim miejscu, Zygmunt zawołał:

— A czemuś do mnie dotychczas nie przyszedł?

Ochmistrz zrazu szepnął mu coś na ucho, a młody król wypowiedział znów swoje:

— Wdzięczny, bardzo wdzięczny wam jestem.

Wtem nadeignął korowód dziewcząt i Jadwisia wraz z Anusią skłoniwszy się według wyuczonego regulaminu, podały mu pięknie wyszyty czaprak. Prócz tego podały i pudełko ozdobione robionemi kwiatami, a napełnione pierniczkami, które mu tak w zakroczyńskim zamku smakowały. Zygmunt bez ceremonii sięgnął ręką do pudełka, i chrupiąc pierniczek, zawołał:

— Ach, jak to dobrze, żeście przyniosły pierniczki, bo tante siniora zjadła! A właśnie jestem głodny.

I wziął drugi pierniczek, lecz zarazem przytrzymał Anusie, dodał:

— Siądź tutaj, siądźcie obiedwie!

Dziewczynki nie wiedziały co czynić, uczono je, żeby stanęły na wskazanem miejscu, co zawsze podczas prób czyniły, teraz królewicz przytrzymał je i kazał siadać przy sobie. Wybawił je z kłopotu ochmistrz, który szepnął coś na ucho znudzonemu zbyt długiem siedzeniem królowi, a tymczasem

Kazik i przyboczni dwaj dworzanie odebrali przyniesione przez dziewczynki dary.

— Ach, dobrze, dobrze! — zawołał Zygmunt, i pochwyciwszy Anusię i Jadwisę za ręce, wybiegł z nimi na srodek komnaty.

W tej chwili także zabrzmiała muzyka trzykrotną fanfarą na znak, że korowód skończony. Powoli dźwięki przechodziły w jakieś skoczne odgłosy, lecz, wśród gwaru jaki się wszczął na srodku komnaty, nikt wysiłków owej kapeli nie słuchał, ani też nawet zrozumieć ich nie mógł.

(d. c. n.)



POLOWANIE NA WEŻE.

Pewien podróżny, zwiedzając Afrykę północną, miał sposobność wzięcia udziału w polowaniu na węże jadowite. Polowanie to jednak nie miało wcale na celu tępienia tych niebezpiecznych płazów, jakby się każdemu z nas zdawało. Bynajmniej. Kabyłom miejscowym chodzi przeciwnie o ujęcie pewnej ilości węzów, które później oswajają i uczą rozmaitych sztuk. Ludność bowiem miejscowa bywa nader ciekawą tego rodzaju przedstawień i chętnie przygląda się, jak owe straszne stworzenia z dokładnością wykonywają rozmaite ruchy na rozkaz poskromiciela.

Objasnić musimy w tem miejscu, że przedstawienia te nie są tak bardzo niebezpieczne, gdyż pogromcy wyrwywają poprzednio węzowi dwa wielkie zęby, w których mieści się jad. Wąż więc może ugryść boleśnie, ale nie śmiertelnie. Trzeba tylko operację wyrwywania powtarzać od czasu do czasu, gdyż zęby te odrastają.

A teraz posłuchajmy opowiadania podróżnego.

Polowanie odbywa się w nocy, wśród gór, gdzie kryją się węże. Trzydziestu Kabyłów brało w niem udział. Zanim zaczęli oblawę, modlili się po swojemu, gestykulując. Wódz rozdzielił myśliwych na dwie partye.

W pierwszym rzędzie idą dwójkami właściwi łowcy. W każdej dwójce jeden człowiek ma kije w obu rękach, drugi zaś niesie w prawej ręce pochodnię, lewą obwija starannie fałdami burnusa.

W drugim rzędzie kroczą pomocnicy obladowani skórzanymi worami, w które zbierać będą zdobycz.

Sześciu muzykantów z fletami i bębnami zamyka pochód.

Zaledwie ruszyliśmy ścieżką wiodącą na szczyt góry, gdy muzykanci zaczęli grać bardzo hałaśliwie, lecz niemiłosiernie fałszywie. Wnet też i łowcy pochodniami zaczęli oświetlać zarośla i kijami je przetrząsać.

Od czasu do czasu ostry świst przerywał fałszywe granie; to wąż wyskakiwał z krzaków. Dreszcz mnie przechodził mimowoli, ale myśliwy z pochodnią ścigał spłoszonego węża, który rozdrażniony, rzucał się na wyciągniętą rękę,

obwiniętą w burnus. Zęby wzięły w fałdach grubej wełnianej materji, a drugi łowiec uderzał kijem po głowie gada.

To uderzenie obezwładniało węża, którego straszne zęby, po odwiezieniem szarpnięciu, pozostawały w burnusie. Zdobycz kładziono wtedy do skórzanego worka.

Wkrótce po rozpoczęciu polowania, przyłączyła się do orszaku osobliwa postać. Była to stara kobieta, od stóp do głów okryta błękitnym szalem, za nią szedł mały chłopak, niosąc w ręku skrzynkę. Kobieta miała brwi krzaczaste, małe, czarne i świdrujące oczy. Spiczasty nos pochylał się ku równie spiczastej brodzie, słowem istna czarownica z bajki!

Kobieta w milczeniu szła za nami.

Po kilku godzinach myśliwi zakończyli polowanie, bardzo pomyślne, jak mówili. Wtedy kobieta podeszła do wodza, znać ją musiał, bo kiwnął jej głową na przywitanie, poczem kazał pobierać z burnusów zahaczone o nie zęby.

Dowiedziałem się od towarzyszy, że nieznajoma skupuje zęby jadowitych węzów, ponieważ zajmuje się czarami, a owe zęby mają posiadać różne lecznicze i tajemnicze właściwości.

Myśliwi niechętnie patrzyli na czarownicę, bali się złego uroku, jaki, ich zdaniem, rzucić mogła.

Nagle usłyszeliśmy krzyk. Jakiś wąż niespodzianie wypełznął z krzaków i ukąsił w rękę jednego z myśliwych. Towarzysze natychmiast pospieszili z pomocą. Dwóch na zmianę wysysało ranę, inni zbierali zioła, które ugnietli i przyłożyli do rany. Ukąszony Arab z całym spokojem poddawał się leczeniu. Wiedział że jest skuteczne.

Czarownica tymczasem odeszła, a za nią posypały się ciche przekleństwa. Może to ona, jej zły urok wywołał z krzaków węża i kazał mu ukąsić jednego z myśliwych, szeptali pod nosem.

— A teraz w drogę! — zawołał wódz i cała gromada ruszyła w stronę wioski, zamieszkałej głównie przez tak zwanych czarodziejów, którzy umieją nietylko oswajać węże, lecz uczą je różnych sztuk.

Węże są bardzo czułe na muzykę, lecz tylko łagodną, tańczą przy dźwiękach fletów, wykrecając na wszystkie strony giętkie swe ciało; na rozkaz czarodzieja otaczają go pierścieniem w pasie lub naokoło szyi, lub wreszcie układają mu się na głowie w kształcie turbanu, na którym wydłużona wężowa głowa tworzy rodzaj ruchliwej kity.

Przedstawienia z węzami ściągają licznych widzów, którzy żywią wielką cześć dla pogromców, polowania zaś na węże ułatwiły uczonym zoologom europejskim poznanie i zbadanie wielu niebezpiecznych gatunków tych płazów.

W Indyach, przy ujściach rzeki Gangesu, połów węży odbywa się w inny sposób, a ma na celu zaopatrywanie menażeryj i muzeów europejskich. Na wielkich przestrzeniach zapalają Indusi trawy, a wystraszone płazy, uciekając przed ogniem, wpadają w zastawione sieci. Następnie przywiązują węże do grubych kijów bambusowych, lub też zamykają do skrzyń i odsyłają do Europy.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TRĘŚĆ: Konkurs na wypracowanie. — W otchłaniach morskich przez dr. M. Stefanowską (z ryc.) — Nauka gwizdania (z ryc.) — Dzielny chłopiec przez Zofię Kowerską. — Urna i Izawnica, komedyjka w jednym akcie. — Niedźwiedź, powieść z XVI w. przez Zuzannę Morawską. — Polowanie na węże. — Dodatek: Wilk i żóraw (z ryc.) — Samochwalska, wiersz przez Ludwikę Życką — Skarb Antosia. — Królowa peziomek i paproci, bajka czarodziejska przez Wacława Sulimę. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Juraś i Anulka, czyli historia rozbitków. Powieść Andrzeja Laurie, przekład M. D.

WIECZORY RODZINNE



WILK I ŻORAW.

(BAJKA).

Wyglodniały wilk uraczył się pieczenią znaną na drodze; była to resztką wołu, którym już się raczyli jego współbracia. Jedząc pospiesznie, połknął przez nieuwagę kość, która stanęła mu w gardle i dławić zaczęła.

Przerażony spojrzał do koła, czy mu kto nie pospieszy na ratunek, ale zwierzęta, które przechodziły tamtędy uciekały od niego z przestachem i niebyło nikogo na pustym gościńcu. Tylko na łące w oddali przechadzał się młody żóraw, elegant w cylindrze na głowie i ładnej fularowej krawatce na szyi.

— Panie żórawiu, zawołał wilk ochryłym głosem, masz dziób tak długi, że z łatwością sięgniesz mi do głębi gardła, poratuj kumie wydobądź kość, co tam uwięzła.

Żóraw nie bał się wilka, wiedząc że ten dopiero co ukończył obiad, pospieszył więc i wsadziwszy bardzo zręcznie dziób w gardło drapieżnika, uwolnił go od dławiącej kości. Nie pamiętał wszakże, że za dobry uczynek

nie należy szukać zapłaty, bo wtedy traci się całą zasługę. Czemu prędzej więc umaczawszy dziób w podróżnym kałamarnu, który znalazł na łące wraz ze zwitkiem papieru, zgubiony przez uczonego przyrodnika spisującego swe podróżne spostrzeżenia, napisał rachunek za dokonaną szczęśliwie operację i przedstawił go wilkowi.

Ale wilk nie należy do stworzeń wdzięcznych, więc obruszył się tylko groźnie i wyrzekł:

— Ciesz się, że gdy miałem głowę twoją w mojej paszczy nie odgryzłem jej — i poszedł dalej.

Zawstydzony żóraw, pozostawszy sam, począł rozmyślać, że wilk okazał się wprawdzie szkaradnym niewdzięcznikiem, lecz i on sam godzien był również nagany, żądając zapłaty za to, co w nagłej potrzebie powinien był uczynić bliźnemu z dobrego serca.

Samochwalska.

Ja — to wszystko robię ładnie!
 Umieję lekcye doskonałe;
 Gdy coś zagrać mi wypadnie
 Omyłki nie zrobię wcale.

I na kanwie już haftuję,
 Piszę ładnie, równo, gładko!
 Ja wszystko łatwo pojmuje
 Dla mnie nic nie jest zagadką.

I w zabawie jestem zręczna,
 Że mi trudno kto dorówna!
 Bo ja jestem taka wdzięczna
 Taka zdolna, miła, mówna...

— Cicho, cicho! — przerwie mama,
 Otóż w tem nieszczęście całe
 Że się cenisz zawsze sama,
 Sama głosisz swą pochwałę.

Kto się chwali, jest nieznośny,
 Pychę niszczy swe zalety,
 Wiesz, dla czego dzwon jest głośny?
 Pusty wewnątrz jest niestety.

Ludwika Życka.

SKARB ANTOSIA.

Antoś był właścicielem skarbu: istotnego skarbu, który przynosił mu więcej pociechy i radości, niż niejednemu bogaczowi miliony.

Antoś był więc bogatszy od niejednego z bogaczy — a czy na właściciela skarbu nie wygląda? Spodenki ma w kratkę, ze starej, matczynej spódnicy, w nich dwie kieszenie, w które może ręce zakładać nie gorzej, jak pan organista — nogi ma bose, ale to nie jego państwu nie ubliża, bo na głowie ma za to żołnierską czapkę! Prawdziwą żołnierską czapkę, którą tatulo z miasta przynieśli, kiedy przed trzema laty z wojska wrócili! Inne chłopaki okrutnie tej czapki zazdrościli Antkowi; duży Szymek chciał mu ją raz nawet ściągnąć z głowy i śmignąć z nią w pole, ale Antoś, choć mały, drwił ze siebie nie da; tak zręcznie podstawił mu nogę, że ten upadł jak długi, a wszyscy chłopcy Antka „generałem” okrzyknęli, za to, że taki sprawny!

Ale ten skarb Antosia, to nawet jeszcze nie czapka żołnierska! posłuchajcie tylko jak to z tem było. W lipcowe przedpołudnie stał sobie raz Antoś pod płotem i dumiał o swoim generalstwie i o Szymku, że nie taki on mocny jak się widzi, tylko trzeba z nira umieć poczynać... i o tem jak słoneczko ładnie przyświeca, i jak to z niem wesoło. Żeby tylko matuś rychło z pola wrócili, uwarzyć co na wieczrę, bo na południe miał Antoś tylko kilka zimnych kartofli z wczorajszego jeszcze gotowania, to człowiek, chociaż w czapce żołnierskiej, siłę może stracić jak sobie dobrze nie podje! Juści matuś raz na dzień

tylko gotują, bo to przednówek, ale żeby tak gotowali dwa razy, toby lepiej było...

Te głębokie rozmyślenia przerwał turkot jadącej bryczki i jakiś wesoły głos, który wołał z tamtej strony kołowrotu, zamykającego drogę do wsi:

— Hej, ty tam, generale! a obróć-no kołowrót, żebyśmy przejechali!

Antoś usłużnie poskoczył, otworzył kołowrót, a widząc bryczkę pełną studenckich mundurków, roześmiał się do nich wesoło i zapytał:

— A jak panicze odrazu odgadli, że ja generał?

— Ho, ho! dosyć przecie popatrzeć na ciebie! — zawołał jeden.

— Może jeszcze i feldmarszałkiem kiedy będziesz — dodał drugi, a trzeci wydobył sakiewkę i grzecznie kłaniającemu się Antosiowi, wrzucił dziesiątaka w żołnierską czapkę, mówiąc:

— Masz tu na obwarzanka, generale! a nie zapomnij o nas, jak kiedyś będziemy prostymi żołnierzami!

Śmiejąc się, młodzież pojechała dalej, a Antoś stał oszołomiony swoim szczęściem. Dziesiątak i to nowiutki, świecący pod słońce, jak srebro! Tyle pieniędzy Antek jak żyje nie miał dla siebie! Toż to cały kram zakupić można na jarmarku, który za dwie niedziele wypadał w sąsiednim miasteczku. Antek wobec swego bogactwa zapomniał o głodzie i o kartoflach i o generalstwie — usiadł sobie na przyźbie, nad rowem, i zaczął rozliczać, co to on za tego dziesiątaka dostanie: Więc przedewszystkiem kozik, taki śliczny nożyk składany, oprawny w drzewo czerwono malowane, bo i cóż to za chłopiec bez kozika? Ani to kijka zastrugać, ani sobie z wierzyby wyciąć ligawkę, a Antek dotąd przecie swego nie miał, tylko widział jak inni chłopcy miewali... ale teraz już będzie inaczej! Potem... możeby i obwarzanka kupić... Dobrze ten panicz mówił co dał dziesiątaka! Obwarzanek smaczny, złocisty zapachniał teraz Antosiowi, jakby go do ust podnosił. Tak z pewnością kupi obwarzanek... dla siebie i dla matuli! bo matuś także zjadłaby go ze smakiem! A za resztę, to już Antoś kupi sobie obrazek święcony i rysik do tabliczki, co się to o niego pan nauczyciel już od tygodnia w szkole gniewa, że Antoś liter nie pisze, a jak ma pisać, kiedy matula grosza na rysik nie dadzą, bo na sól nie mają! Tak! kupi sobie nawet dwa rysiki, bo jeden łatwo się złamie, a za resztę, to już tylko takiego z gliny kogutka do gwizdania... chybaby jeszcze buty!...

Wyrachowawszy sobie tak wszystko, co za swego dziesiątaka mieć może, Antoś czuł się tak szczęśliwy, tak bogaty, jakby doprawdy już był posiadaczem tych wszystkich upragnionych rzeczy!

Zerwał się zaraz i pobiegł do chłopców pasących gęsi i cielęta na błoniu, aby im o swoim szczęściu opowiedzieć. Duży Szymek był tutaj także i przysłuchując się ciekawie opowieści, jak to panicze jechali, jak to jeden z nich zawołał: „Hej, ty tam generale! wreszcie jakich Antoś różności na jarmarku nakupi, spoglądał wciąż na błyszczący dziesiątak w dłoni Antosia. Ten zauważył te spojrzenia i chcąc podrażnić pokonanego przeciwnika, zawołał:

— A możebyś sobie wziął dziesiątaczka?... No Szymek, naści! spróbuj! dam ci, weź go tylko! — to mówią

Antek już się zerwał i ufny w zwinność nóg swoich, śmiejąc się zaczął uciekać.

(d. n.)

KRÓLOWA POZIOMEK I PAPROCI.

BAJKA CZARODZIEJSKA

przez Wacława Sulimę.

(Dalszy ciąg)

— Dziękuję, dziękuję — zawołała królowa i miała pobiedz do nich, kiedy spostrzegła Halinkę, która stała ciągle zapatrzona i zasłuchana.

— Kto jest ta dziewczynka? — spytała.

— Nie wiemy, królowo, — odpowiedziała jedna z większych poziomek — była ona już tutaj wczoraj, przybiegła za sarenką i razem prawie z nią odeszła.

Leśna królowa zwróciła się do Halinki:

— Kto jesteś dziewczeczko i czego sobie życzysz?

— Ja — odparła Halinka — zbierałam wczoraj poziomki i za sarenką przyszłam tutaj; widziałam mnóstwo poziomek, ale ich nie rwałam, bo mój dzban był pełen. Dziś trzeba mi było poziomek, więc przyszłam. Ale nagle poziomki zaczęły tańczyć, pani przyjechała na sarence i już nic nie wiem co się dzieje.

— Jestem królową Poziomek i Paproci. O wschodzie i zachodzie słońca przejeżdżam tędy na sarence, a moje poddane witają mnie zwykle tańcami i śpiewem, jeżeli potrzeba ci poziomek, to nie mogłaś lepiej trafić. Daj twój dzban, wnet będzie napełniony.

Halinka podała dzban, wszystkie małeńkie istotki zatrzepotały się, rozbiegły i z pomiędzy krzewów paproci tworzących namioty, takie mnóstwo przyniosły ślicznych jagódek, że dzban napełnił się znowu po brzegi.

— Czy to już dosyć? — zapytała królowa z uśmiechem.

— O dosyć! — wykrzyknęła uradowana Halinka — więcej bym nawet unieść nie mogła, bo dzban bardzo ciężki.

— Daleko stąd mieszkasz?

— W chacie leśnika Jana.

— W tę stronę idą dwie dziewczynki z dwojaczkami pełnymi poziomek.

— A to pewnie Elżbietka i Jagusia z mojami poziomkami.

— Jakto twojemi?

Halinka opowiedziała o swojej przygodzie, a królowa rzekła:

— Postępek ich rzeczywiście bardzo jest brzydki i zasługuje na karę. Weźże twój dzban i siadaj na moją sarenkę, doprowadzi cię ona do spróchniałego dębu, za którym spotkasz się z niemi. Trzymaj w ręku te oto cztery poziomki i nieznacznie rzuć po jednej każdej w ich dzbanuszki. A jeśli ci będzie kiedy potrzeba poziomek, to przychodź prosto do nas, dostarczymy ci ich, wiele zechcesz. Do widzenia dziewczeczko!

Halinka usiadła na sarence, która pomknęła szybko naprzód. Dojechawszy do spróchniałego dębu, dziew-

czynka zeskoczyła, pożegnała ją i zaraz przy pierwszych zaroślach spotkała obie siostry, które na jej widok zmieszaly się bardzo widocznie.

— Skądżeś się tutaj wzięła, Halinko? — spytała zdziwiona Jagusia, ale Elżbietka odpowiedziała za nią:

— Nic dziwnego, że już nadeszła; nie budziłyśmy cię, Halinko, bo chciałyśmy wolno idąc, zbierać poziomki po drodze. Długo szukamy, ale tym razem powiodło nam się, mamy pełne dwojaczki.

Kłamstwo to oburzyło Halinkę, więc niby przyglądając się dwojaczkom, wrzuciła nieznacznie w każdy po jednej poziomce, którą miała w ręku, a głośno rzekła:

— Winszuję wam, a zawsze to miło patrzeć na swoją pracę.

— Aleśmy się też zmęczyły — rzekła Jagusia — aż mnie plecy bołą od schylania się.

— I mnie także — dorzuciła Elżbietka, mrugając na siostrę.

— Jakie one fałszywe! — myślała ze wstrętem Halinka.

Do chatki było już niedaleko. Rodzice i Janek siedzieli przy śniadaniu i głośnym wykrzyknikiem przywitani dzieci.

— Gdzieżeście byli? — rzekła leśniczyna — mówiłam, żebyście wcześniej wracały.

— Burza nas zaskoczyła w lesie, ciociu — odpowiedziała Halinka — schroniłyśmy się do pasterskiego szałasu i tam przespałyśmy noc całą.

— Domyślałem się tego — rzekł leśnik. — Szop i szałasów jest kilka w lesie, dla tego nie chciałem, żeby Janek wyszedł was szukać na taki czas, zresztą nie daleko by zaszedł.

— A cóż, dużo macie poziomek?

— Pełne dzbanki.

— Pokażcie.

Halinka pierwsza odbryła swój dzban. Na widok przeslicznych jagódek, którymi był napełniony, Jagusia wykrzyknęła nieostrożnie:

— A skąd ona ma te poziomki?

Aż jej Elżbietka spiesznie usta zamknęła.

— Dajcie nam trochę pokosztować waszego zbioru, rzekł leśnik.

Halinka usypała sporo na miseczkę i podała wujowi.

— Wyśmienite, doskonale — mówił stary leśnik — jakież soczyste i słodkie.

Elżbietka podała trochę poziomek matce, ale ta ledwie skosztowawszy, wykrzyknęła:

— Gdzieżeś ty zbierała te poziomki? gorzkie jak piołun, w usta wziąć nie można!

— A Jagusi kwaśne jak ocet i pleśnią trącą — rzekł Janek, który sięgnął do dzbanuszki młodszej siostry.

— To nie może być! — wykrzyknęły przestraszone dziewczynki — przecież zbierałyśmy je w lesie tym samym gdzie Halinka, więc muszą być świeże i dobre.

Ale spróbowawszy, same przyznały, że owoc jest nie do użytku.

— To nic nie szkodzi — rzekła wreszcie Elżbietka — na pozor ładnie wyglądają, a nikt kupując nie kosztuje poziomek z dzbanka.

(d. c. n.)

ZAGADKA.

Nie dopatrzysz mię okiem, nie ujmiesz mię dłonią,
 Nie poczujesz mnie smakiem, nie zdradzę się wonią.
 Jednak jestem przy tobie stale, nieprzerwanie,
 I ruchem ciała niebieskich mierzysz moje trwanie.
 Kto mnie ceni, z dniem każdym nowe skarby garnie.
 W otchłani rzuca sam złoto, kto mię traci marnie,
 Wszystko, co jest na ziemi moja władza kruszy...
 Jeżeli umiesz myśleć, odgadniesz mię w duszy.

LAMIGŁÓWKA W TRÓJKĄCIE.

przez A. W.

Pierwszy wiersz oraz pierwsze
 litery złożony mają imię znako-
 mitego wodza ateńskiego. 2-gi
 wiersz: Miasto w Tyrolu. 3) Szczyt
 w Tatrach. 4) Królestwo pod zwierzchnictwem Austrii. 5) Dopływ Sekwany.
 6) Rzeka w Syberii. 7) Drzewo. 8) Wykrzyknik.
 9) Spółgłoska.

LAMIGŁÓWKA W KWADRACIE.

przez Jodelkę.

1 Ułoży 5 wyrazów, aby litery oznaczone
 2 liczbami, utworzyły nazwę wyspy na
 3 morzu Śródziemnem. 1) Ryba wód słod-
 4 kich. 2) Dopływ Dunaju. 3) Narzędzie
 5 używane w żniwa. 4) Imię żeńskie.
 5) Przylądek w półn. Afryce.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 15.

Szarady: Po — ko — ra.

Lamigłówniki liczbowej:

23	16	8	3
11	25	14	0
6	5	19	20
10	4	9	27

Krzyża magicznego:

W	M				
	i	a			
W	i	e	d	e	ń
M	a	d	r	y	t
	e	y			
	ń	t			

Skrzynka do listów.

Poznajemy już pismo Aleksandra W. na kopercie, którą rozdzieramy skwapliwie, wiedząc, że list ciekawy zawiera. I dotąd ani razu nie spotkał nas zawód, dla tego też dalszego ciągu opisu

podróży twej po kraju wyglądamy z niecierpliwością, a dzisiaj dla braku miejsca odpowiedzi przedłużyć nie możemy.

Jerzy S. z Bogusławek mylnie sądzi, że o nagrodę z kaligrafii ubiegać się nie może. Redakcja przecież po otrzymaniu twego listu przeciwnego jest zdania, twierdząc, że stosunkowo do swego wieku, piszesz porządnie i starannie, radzimy ci też szczerze byś się pospieszył i przysłał nam próbę swego pisma, a konkurs rozstrzygnie czy zasługujesz na nagrodę. Prośbę twoją chętnie chcielibyśmy spełnić.

Do grona stałych korespondentów, każdego z miłych naszych czytelników chętnie zaliczamy i tobie Sokole z przyjemnością odpisywać będziemy, jeśli zechcesz odzywać się do nas w przyszłości. Wierszyk nie nadaje się do druku.

Niejasno prosisz nas Koralu morski o wysłanie zaginionego dodatku, bo nie wiadomo czy chcesz arkusz 12, który ci posyłałyśmy? W numerze 12 był już 14 arkusz, Jurasia i Anulki. Bardzo jesteśmy radzi, że cię ta powieść tak zajmuje. Za wysłanie zaginionego numeru nie pobieramy osobnej opłaty od stałych prenumeratorów.

Prośbę Irenki J. już spełniliśmy, ale na raz przysły nie zapomnij dołączyć adresu, o który zawsze prosimy.

Za życzenia i miły liścik Pilnego czytelnika dziękujemy. Osobnej odbitki: *Otchłani morskich*, oddzielnie z roku zeszłego nie mamy, są tylko całe roczniki Pisma w sprawie. Praca ta przecież po ukończeniu jej w Wieczorach, wyjdzie w księżce.

Dobre roszczenia przysłali: Gwiazdka z Zagórzeń, Stasiek W. Adolf W., Mieczysław U., Słoń z Nubii, który nadesłał też arytmogryf własnego układu.

Zaspokoilibym chętnie twoją ciekawość Zabko z nad Rosi, gdybym tylko mogła, ale choć jesteś bardzo młodzieńką, rozumiesz przecie, że danego słowa łamać nie można. Wobec redakcyi zobowiązałam się nie wydawać mego nazwiska, danego przyrzeczenia dotrzymać muszę. Proszę jednak, chociaż żądaniu twemu zadość uczynić nie mogę, by odpowiedź odmowna nie zniechęcała cię do mnie, ani do korespondencyi ze mną. Lamigłównik odesłałam do redakcyi wraz z arytmografem Orła czubatego, czy będą przyjęte do druku, nie wiem, bo sąd o tem nie do mnie należy.

Z jakimże zajęciem i z jaką wdzięcznością otrzymałam dowód twej pamięci Konwalijko z nad Kubani w postaci tak ciekawie napisanego listu. A czytając, żałowałam, że z innymi korespondentami memi nie mogę się podzielić zajmującymi opisami, któremi mnie obdarzyłaś, pomyślałam sobie, że gdyby redakcyja chciała pozwolić... ale szał, pisać jeszcze o tem nie mogę, bo to tylko taka moja myśl przelotna. Z Krakowa do Warszawy zawsze przez Częstochowę jechać trzeba. W Częstochowie największe odpusta odbywają się na Zielone Świątki, na święta Matki Boskiej w dniu 15 sierpnia i 8 września, i wtedy schodzą się tam najliczniejsze pielgrzymki z różnych stron kraju, a nawet z zagranicy.

Czarnuszka i Bielasek przysłali dobre rozwiązania lamigłównik. Zgadzałam się chętnie byście na moje ręce przysyłałi szarady lub lamigłówniki własnego układu i pośredniczyć będę, aby przyjęte zostały.

Dobrze zrobiłaś Stokrotko z Sobolówki, że zapragnęłaś zostać moją korespondentką, mile powitałam twój pierwszy liścik, a spodziewam się, że na następne długo czekać nie każesz. Rozwiązanie lamigłówniki dobre. Równie przyjemnie było mi powitać Różę czerwoną, obdarzającą mnie po raz pierwszy tak starannie pisany listem. Przykro tylko, że nie mogę zadość uczynić jej prośbie i wysłać natychmiast żądany dodatek dla braku adresu.

Konopka do konkursu kaligraficznego należyć może, nie ubiegając się jednak o nagrodę, bo te tylko do lat 10 przyznawane będą. Opóźnienie w odbiorze Wieczorów zależy nie od redakcyi, a tylko od poczty, więc my nic na to zaradzić nie możemy. Jaki numer „Jurasia i Anulki” jest ci potrzebny? Za pozdrowienia przysłane dla mnie przez Stefcję K. z R. dziękuję, lecz mam nadzieję, że wkrótce sama wprost do mnie napisać zechce.

Jaskółka.